

Tłumacz środowiskowy wobec wojny – relacja osobista

DOI: <http://dx.doi.org/10.12775/RP.2022.018>

Pierwsze dwa tygodnie po 24 lutego 2022 roku pamiętam bardzo dobrze, ale nie da się tych dni ułożyć w żadną barwną historię – wszystko stało się czarno-białe. Zabójcy i ratownicy. Wrogowie i swoi. Skrajne emocje wściekłości i podziwu. Bezgraniczne uczucia niewyobrażalnej chęci zemsty i niesamowitej wdzięczności.

W pierwszych godzinach wojny okazało się, że ogromnie brakuje ukraińskich tłumaczek i tłumaczy, wszędzie. Zdarzało się, że prowadząc samochód, jadąc do tłumaczenia w punkcie recepcyjnym albo na dworcu, jednocześnie przez telefon pomagałam porozumieć się w szpitalu matce z bardzo chorym dzieckiem albo jeszcze komuś – i w żadnym z tych miejsc nie można było sprawy odłożyć na później.

Ale taki tryb był dla mnie ratunkiem. Pozwolił się nie załamać. Nie wpaść w czarną otchłań rozpacz. Ratowała też postawa Polek i Polaków. To było coś niesamowitego: prywatne samochody, małe i duże, stare i luksusowe, z numerami z całej Polski – przy dworcu Warszawa Zachodnia. Setki ludzi przyjeżdżało, by ukraińskie kobiety z dziećmi, ze starszymi rodzicami, z psami, kotami, ptakami zabrać do siebie do domu lub zawieźć tam, gdzie potrzebowały. Nigdy nie zapomnę widoku masy samochodów niemieszczących się na placu przy dworcu i zajmujących trzy pasy ruchu w Alejach Jerozolimskich, całodobowo odbierających ludzi, zmarzniętych, przerażonych i wyczerpanych po kilku dniach podróży. Przejeżdżałam obok kilka razy dziennie i wypełniały mnie wdzięczność i podziw. Te uczucia dawały niesamowitą siłę.

Pierwszym zetknięciem z koszmarem była pomoc osobom z ewakuowanego domu dziecka dla ciężko chorych dzieci. Jako osobista tłumaczka

dyrektorki towarzyszyłam jej przez dwie doby (minus trzy godziny snu). Spod Kijowa wyjechało 160 dzieci. Do Polski dotarło 120. Reszta albo nie przeżyła drogi, albo ich stan na tyle się pogorszył, że musiały zostać w szpitalach po drodze. Z dyrektorką było tylko sześć opiekunek – sześć! Więcej nie przyszło w dniu wyjazdu – nie chciały albo nie mogły jechać. Dzieci wraz z opiekunkami tydzień spędziły w piwnicy i tydzień w drodze. Dyrektorka знаła każde dziecko: imię, wiek, stan, choroby, potrzeby i możliwości. Żadne z tych chorych dzieci nie mówiło. Na dodatek wszystkie dokumenty medyczne były odręcznie napisane cyrylicą. Ponadto dyrektorka była też prawną opiekunką każdego dziecka i dlatego jedynie ona mogła i musiała z każdym jechać karetką do szpitala. Tylko przez dwie doby spędzone w Warszawie takich wyjazdów odbyłyśmy razem około dziesięciu. W domu pod Kijowem dyrektorka była zmuszona zostawić chorą mamę z demencją, samą w mieszkaniu na piątym piętrze. Klucze dała sąsiadce, która wtedy jeszcze nie planowała wyjeżdżać. Jeszcze. W każdej chwili mogło się to zmienić, zdawały sobie z tego sprawę. Ale nie było innego wyjścia. Wszystkie liczyły, że za parę tygodni wrócą – przecież ten koszmar, ten absurd nie może trwać dłużej. Wszystkie te kobiety kogoś w domu zostawiły. Z jedną z nich wysłaliśmy na papierosa – jej pierwszego od początku ewakuacji. Trochę odetchnęła i zadzwoniła do sąsiadki, z którą zostawiła kota Waśkę, bo syn poszedł na front. Waśka od pierwszych wybuchów nie opuszczał szafy. Poprosiła sąsiadkę przez telefon, żeby weszła do szafy i podsunęła kotu telefon. Płakała i mówiła do niego, mówiła w kółko to samo:

– Syneczku mój, Wasiuniu, wybac mi, wybac, malutki, że cię zostawiłam. Mamusia nie porzuciła ciebie, nie. Nie płacz, nie bój się, wrócę, niedługo wrócę. Wybac, malutki.

To było osiem miesięcy temu. Po dwóch dniach cztery autokary pod eskortą trzech karetek z najciężej chorymi dziećmi pojechały dalej – do Koszalina, Sopotu, Gdańska – do przygotowanych specjalistycznych ośrodków.

W połowie marca mogłam wreszcie pojechać na granicę. Chciałam tam być od pierwszego dnia, ale nie mogłam – było dużo pracy, ponadto gościłam u siebie w Warszawie przyjaciółki, bliższe i dalsze znajome z Kijowa – z kotami, psami, świnkami morskimi, królikami. Zostawały na jedną noc, na dwie, trzy, na tydzień. Odsypiały drogę, szukały mieszkania, czekały na wizy, samoloty, autokary, pociągi i jechały dalej w nieznanne.

Jedna z przyjaciółek dotarła do Warszawy pół dnia szybciej, niż się spodziewałam. Jej pociąg z Kijowa spóźnił się tylko dwanaście godzin,

nie zaś dobie, wyjątkowo tej nocy bombardowali mniej. Zadzwoiła do mnie z Warszawy Zachodniej o 6 rano. Było minus 5 stopni. Miała kotka w mokrym transporterze. Mogłam dojechać najszybciej za cztery godziny. Napisałam na czacie osiedlowym prośbę o przygarnięcie kobiety z kotem na parę godzin. O 6.30 jedna z mieszkanek już po nią była. I była jedną z ośmiu osób, które zgłosiły chęć pomocy natychmiast, w ciągu 5 minut. Polki i Polacy, jesteście niesamowici!

Codziennie dostawałam maile z różnych przejść granicznych – brakuje tłumaczy, brakuje ludzi z samochodami, brakuje wolontariuszy do pomocy.

Uchodźców było setki, tysiące, głównie kobiety i dzieci, różne, ale tak samo zmęczone, przerażone i bezradne. Za jedzenie dziękowały:

– Wszystko mamy. Inni bardziej potrzebują.

Nie pamiętam imion i nazwisk, tylko miejscowości, z których przyjechały.

Przed podjęciem pracy na granicy zapoznałam się z zaleceniami tych, którzy byli tam od pierwszych dni. Najważniejsza rada to nie podawać numeru swojego telefonu, nic nie obiecywać, nie angażować się personalnie. Wzięłam to sobie do serca, ale dwa razy uległam, dałam swój numer – nikomu to nie pomogło, tylko zaszkodziło. Bo ta rada była z rodzaju pierwszego i głównego z zaleceń dla ratowników wodnych.

„NIGDY, ALE TO NIGDY NIE PODAWAJ RĘKI TONĄCEMU! Tym bardziej nie zbliżaj się do niego, aby mógł cię bezpośrednio chwycić. Osoby tonące pod wpływem ogromnych ilości adrenaliny podczas walki o życie dysponują ogromną siłą i kiedy cię chwycą, to już nie puszcza, co może skutkować wspólnym utonięciem!”

Właśnie w taki sposób często zachowywali się uciekający w pierwszych tygodniach i miesiącach po 24 lutego 2022 roku. Towarzyszyło im zagubienie, wszystko dookoła było przerażające, śmiertelnie niebezpieczne i nieznane, a tłumaczka na granicy to pierwsza osoba, którą spotykali na bezpiecznym terytorium Polski, to ktoś, kto mógł uratować. Poczucie bezpieczeństwa potęgował jeszcze fakt, że jestem kobietą, mówię po ukraińsku, pochodzę z ich kraju.

Jak wspomniałam, dwa razy uległam i dałam swój numer, na samym początku – zbyt poważne i nietypowe sytuacje się zdarzyły – ale okazało się to powyżej moich możliwości. Telefony od przerażonych ludzi o każdej porze dnia i nocy, nawet z innych krajów. Choć próbowałam, prawie nic nie mogłam dla nich zrobić. Przecież jestem tylko tłumaczką.

Prawie żadnego imienia nie pamiętam, przy tysiącach ludzi to niemożliwe, a gdyby nawet – to niezwykle niszczące. Próba indywidualizowania tej fali uchodźców jest jak horror, odtwarzany w przyspieszeniu, zatrzymywany co jakiś czas na jakimś kadrze, żeby przyjrzeć się szczegółom – a one rodzą przerażenie, odbierają resztki równowagi, zwalają z nóg. A trzeba przecież przyjmować następnych, być w ciągłej gotowości do wszystkiego, zupełnie do wszystkiego, czego i wyobrazić się nie da, i przewidzieć. Trzeba się trzymać, uśmiechać, demonstrować pewność, zapewniać stabilność, słuchać i odpowiadać na pytania – konkretnie i dokładnie. W godzinach nocnych albo w dniach mniejszego napływu, albo kiedy dłużej czekało się na transport, albo w namiocie medycznym, albo w najtrudniejszych sytuacjach rozmawialiśmy czasami, ale nie podając imion, a nawet jeśli, to natychmiast je zapominałam. Psychika się broniła, tylko tak mogła przetrwać.

Jednak niektóre osoby weszły w pamięć same, bez mojej woli. Spotkanie z nimi będę pamiętała już zawsze w najdrobniejszych szczegółach.

Sofia, lat 17, o rudych kręconych włosach z iPhone'em 13 Pro w ręku, studentka pierwszego roku informatyki na Uniwersytecie Charkowskim, specjalizacja – cyberbezpieczeństwo i kognitywistyka. Tyle szczegółów zapamiętałam, bo w moim domu została moja własna Sofia, lat 17, o rudych kręconych włosach, z iPhone'em 13 Pro, maturzystka, która właśnie w marcu zaplanowała sobie studia na kierunkach cyberbezpieczeństwo i kognitywistyka. Zrealizowała plan. Studiuje.

Historia Sofii z Uniwersytetu Charkowskiego jest jedną z tych, których nie zapomnę. Przez moment nawet, zupełnie poza regulaminem, myślałam, czy nie wziąć dziewczyny do siebie. Szybko się jednak opamiętałam. Nie dałabym rady. Jestem tylko tłumaczką.

Przez trzy tygodnie siedemnastoletnia Sofia czekała w opuszczonym akademiku na wiadomość od rodziców z Mariupola. Wszystkie studentki i wszyscy studenci wyjechali, a ona czekała. Kiedy akademik został zbombardowany, pojechała do Lwowa w tym, w czym stała. Tam zamierzała czekać do skutku, czekać na telefon od mamy czy taty. Spała w szkole na podłodze, nie wypuszczając telefonu z rąk. Po tygodniu we Lwowie dostała informację, że jej uniwersytet się ewakuował i od poniedziałku zaczyna zajęcia on-line. Znalazła miejsce w akademiku w Hanowerze i natychmiast ruszyła, żeby zdążyć dojechać do poniedziałku. Żeby się uczyć, tak jak obiecała rodzicom. Nie chciała wziąć polskiej karty telefonicznej, przecież nie mogła zmienić

numeru, czekała na telefon od rodziców, czekała, kiedy wreszcie pojawią się w sieci.

– Oni po prostu nie mają prądu i telefony im się rozładowały. Jak znajdują gniazdko, to zadzwonią natychmiast. Mogą zadzwonić w każdej chwili. Powinam mieć ten swój numer – przekonywała i nikt nie podawał w wątpliwość jej pewności, że tak niedługo się stanie.

Potrzebowała ciepłych spodni i butów. Nie miała ani grosza. Zapewniała, że wszystko jest w porządku, przejazd ma darmowy, a w poniedziałek dostanie stypendium na kartę, jest wzorową studentką, ma wysokie stypendium. Wreszcie zgodziła się wziąć 200 zł, dobrałyśmy jej spodnie, buty, jeszcze sweter na zmianę i komplet bielizny. Żałowałam, że skarpet nie było, one zawsze kończyły się bardzo szybko. Sofia powiedziała, że 200 złotych odda później tej osobie, która będzie bardziej potrzebowała. Stała przytulona przez dłuższą chwilę, zanim wsiadła do samochodu i podziękowała. Za to, że nie mówiłam jej: „Wszystko będzie dobrze”, tylko: „Będzie lepiej, tak źle długo być nie może. Trzeba jedynie przetrwać ten czas”.

Chciałam dodać na koniec, by przekazała pozdrowienia rodzicom, w ten sposób wspierając jej nadzieję, ale nie, nie miałam do tego prawa. Przecież byłam tylko tłumaczką z przejścia granicznego.

Kiedy 2 kwietnia w sobotę cały świat dowiedział się o zbrodniach w Buczy, Irpieniu, Brodziejance, Iwankowie, Ołeksandriwce... ulżyło mi. Betonowy balast bezradności, wątpliwości, rozterek, nieznannej dotąd odpowiedzialności za losy wielu ludzi, uświadomienia sobie, że każda moja decyzja – mówić czy nie – będzie zła albo bardzo zła, spadł wreszcie z moich pleców. To był ciężar wiedzy o tym, co tam się działo, informacji przekazywanych mi na granicy od uciekających ludzi, ale nikomu nie mogłam o tym powiedzieć, nie miałam prawa. Albo może na odwrót, ale wtedy musiałabym krzyczeć, opowiadać w szczegółach i przekonywać wszystkich – uciekajcie natychmiast! Czy to byłoby właściwe? Koleżanki i przyjaciółki, które na początku podjęły decyzję, żeby zostać w Kijowie i pobliskich miejscowościach, z przerażenia mogłyby zacząć w panice uciekać wprost pod rosyjskie czołgi albo coś sobie zrobić, byleby tylko nie wpaść w ręce Rosjan. Albo z tego przerażenia nic nie robić, kiedy pojawiłby się możliwość ucieczki. Gdyż i tak się przecież zdarzało. Przyjaciółka z Buczy trzy razy nie wykorzystała szansy na ucieczkę i wreszcie wyjechała, jednak w najmniej odpowiednim momencie. Z pięciu samochodów trzy zostały rozstrzelane, ona na szczęście była w jednym z dwóch pozostałych.

Nie mówić, nie opowiadać, nic z tą wiedzą nie robić, nie mieć możliwości pomocy – to okropne, to nie do zniesienia. A przecież jestem tylko tłumaczką.

Zbrodnie w Buczy, Irpieniu, Brodziance, Iwankowie, Ołeksandriwce 2 kwietnia przestały być tylko moją wiedzą i odpowiedzialnością.

W październiku w urzędzie spotkałam rodzinę z trójką dzieci z okupowanego obwodu chersońskiego. Nie mieli paszportów, bo nigdy nie chcieli wyjeżdżać poza granice Ukrainy. Nie wiedzieli, jak wypełniać wnioski niezbędne do uzyskania statusu UKR – uciekinierek i uciekinierów przed wojną. Drugiego września okupanci powiedzieli rodzicom, że jeśli nie wyślą dzieci do szkoły z rosyjskim patriotycznym programem wychowania i nauczania, to pozbawią ich, zgodnie z ustawodawstwem, praw rodzicielskich. Nie trzeba wspominać, że szkoły pełne ukraińskich dzieci wykorzystywane są jako żywa tarcza. O tym wiedzieli wszyscy. A po referendum ojców rodzin mieli mobilizować do armii rosyjskiej. Rodzina, żyjąca z roli, nie chciała zostawić swojej ziemi, porzucać domu i gospodarstwa. Ale musiała. Przez Krym, Rosję, Białoruś i Litwę. Siedemnaście dni trwała ich droga do Warszawy. Siedem dni stali na granicy – Rosja nie wypuszczała. Na ich oczach, tuż przy granicy litewskiej, w odległości kilku metrów od ratunku, 50 innych Ukrainek i Ukraińców z dziećmi Rosjanie wsadzili do autokarów i wywieźli w głąb kraju.

– Mieliliśmy dużo szczęścia – powiedziała matka.

Prawie każda spotkana Ukrainka, czy to na granicy, czy w Toruniu, czy w Warszawie, bez względu na to, ile się nacierpiła i co straciła, mówiła – Miałam dużo szczęścia.

W porównaniu z ludźmi w Mariupolu, Chersoniu czy w Borodziance – naprawdę dużo. Uszły z życiem.

„Miałam dużo szczęścia” – mówiła też moja przyjaciółka z Buczy po pierwszej przespanej nocy we Włocławku, gdzie szybko udało się dla niej znaleźć mieszkanie. Dobrze usytuowana wykładowczyni języka angielskiego była w podartym zimowym płaszczu i zniszczonych butach. Dobrze, że nosimy podobne rozmiary, poza tym, pracując na granicy, zawsze woziłam w samochodzie 3–4 zapasowe zestawy ubrań na każdą ewentualność i każdą pogodę. Rzeczywiście, ona miała dużo szczęścia. Trzy tygodnie w piwnicy – i Rosjanie do jej piwnicy nie weszli i nie wrzucili tam granatu, tak jak często robili czy to dla swojego bezpieczeństwa, czy to dla zabawy. W piwnicy bloku naprzeciwko siedziały kobiety z noworodkami z pobliskiego szpitala. Na początku słychać było ich płacz i krzyki, po tygodniu już nie. A ona miała

szczęście. Trzy próby ucieczki – i wreszcie się udało. Szczęście. W jej blok trafił pocisk, ale jej klatka się nie zawaliła. Razem z kotem Glukiem nie została pogrzebana pod gruzami. Śnieg zaczął się topić – mieli więc wodę. Ktoś w piwnicy zostawił stary materac – mieli na czym spać. Zaniósła tam jesienią przetwory od mamy – mieli jedzenie. Jej samochód odpalił, w baku zostało paliwo i opony miał całe, brakowało przedniej szyby, ale to nieważne – jechał. Z pięciu wspomnianych już samochodów, desperacko uciekających z Buczy w nocy, bez świateł, zauważonych jednak przez okupantów i ostrzelanych, wyrwały się dwa – i ona była w jednym z tych dwóch. Szczęście. Kot Gluk nie spłoszył się, nie zgubił, nie wyskoczył przez okno, miał 15 lat i wytrzymał, przeżył. Czyż to nie szczęście? Widziałam go w marcu, calusieńkiego, choć w jakieś farbie, kredzie, brudzie. Nie dawał się kąpać, był za bardzo zestresowany, żeby go męczyć czyszczeniem i myciem. I sam w szoku się nie mył, jak to zazwyczaj robią koty.

W maju, w walkach pod Charkowem, zginął młodszy brat mojej przyjaciółki – Vitaliy. Rosjanie nie chcieli oddać jego ciała, żądali okupu. Pojechała tam z pieniędzmi, z Włocławka, do codziennie bombardowanego Charkowa – wykupić, pochować brata i zostać z mamą. W maju już w Charkowie zmarł Gluk, ze stresu zachorował na cukrzycę i jego serce nie wytrzymało.

Na granicy było dużo kierowców – wolontariuszek i wolontariuszy, którzy własnymi samochodami przewozili ludzi do większych miast, na dworce, lotniska, do Czech, Niemiec, Austrii, Włoch, Szwajcarii... Byli z różnych krajów, ale oczywiście głównie Polki i Polacy. Niektórych widywałam regularnie – zawozili i wracali, niektórych tylko raz. Jednego z tych, którzy jeździli często – już nigdy nie zobaczę. Poszedł zdrzemnąć się w samochodzie i już się nie obudził. Udar. Dla mnie on też jest ofiarą i bohaterem tej wojny, zginął w walce o ludzkie życie.

Na granicy duży czerwony medyczny namiot z Francji obsługiwały urlopowiczki. Lekarki i pielęgniarki wzięły urlopy, państwo francuskie wysłało dwie karetki pogotowia, sprzęt i wspomniany namiot. Prawie nigdy nie był pusty. Swoje namioty w różnych kolorach i kształtach – z jedzeniem, piciem, rzeczami dla niemowląt, środkami higieny – postawili też Niemcy i Amerykanie. Na granicy pracowali wolontariusze z Europy, Ameryki, Azji, a nawet Australii. Niedaleko nas swoje miejsce mieli polscy weterynarze – za darmo badali i szczepili zwierzaki oraz wypisywali im europejskie paszporty na dalszą podróż w nieznane. Weterynarze, by mogli pomagać, sami potrzebowali pomocy – tłumaczenia.

W maju, by trochę odpocząć, pojechałam na Węgry do rodziny przyjaciółek z dwuletnim synkiem. Obie pracowały w Kijowie w firmach międzynarodowych, obie w pierwszych dniach bombardowań stolicy dostały propozycje relokacji. Tylko że do różnych krajów. Formalne rodziny mogły się ubiegać o przenosiny razem, ale one nie. Postanowiły zostać, żeby się nie rozdzielać. Wytrzymały tydzień w piwnicy wieżowca na obrzeżach Kijowa, ale kiedy zobaczyły rosyjski czołg na placu zabaw, zaczęły, aż nasi go zniszczą, wsiadły w samochód i pojechały na zachód. Zostały uprzedzone przez żołnierzy, żeby nie jechać najbliższą drogą przez las, gdyż tam mogą być miny i Rosjanie. Kierowały się na Węgry, bo jedna z nich dobrze zna węgierski. Kraj ewakuacji, zwłaszcza na początku, często był wybierany właśnie ze względu na język. Do granicy jechały 7 dób zamiast 10 godzin, po drodze spotkały matkę z pięcioletnią córką, a przed samą granicą zabrały czternastoletniego siostrzeńca jednej z nich – jego rodzice byli w wojsku. Na Węgrzech pracę miała tylko jedna. Finansowo wytrzymały trzy miesiące, potem druga musiała wyjechać do Katowic, żeby zarabiać i móc opłacać utrzymanie dzieci i wynajem mieszkania. Teraz widzi synka raz na 2–3 tygodnie.

Młody mężczyzna, Ukraińiec, stał kilka godzin w nocy na linii, której nie wolno było przekraczać. Nic nie mówił i tylko patrzył w stronę przejścia granicznego, trząsł się z zimna. Raz wziął ode mnie gorącą herbatę. Nagle usiadł, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa – zobaczył białego, malutkiego Matiza, który od granicy zmierzał w stronę namiotowego miasteczka wolontariuszy, jechał po bezpiecznej polskiej ziemi. Wreszcie! Jego żonie z pięcioletnią córką dopiero za czwartym razem udało się wydostać z Chersonia. Pojechały tam do rodziców na ferie zimowe, a wróciły dopiero w kwietniu. Żona, malutka i chudziutka, powiedziała, że kiedy już minęła dwunasty wojskowy blok-post pod Chersoniem, nie zatrzymywała się ani razu, tylko jechała jak najszybciej do Polski, do siebie do domu. Samochód był cały w śladach metalowych odłamków. Nie chciały nic zjeść, a dziewczynka nie mogła wypuścić z ramion tatusia, trzymała go mocno za szyję i chowała się przed wszystkimi spotkanymi nieszczęściami.

Dużo osób z terenów okupowanych opowiadało, że jak tylko przekraczało kontrolę na ostatnim blok-poście, jechało bez przystanków i jedynie w godzinach policyjnych musiało gdzieś się zatrzymać.

Którejś nocy przyjechał zielony bus. Chwiejąc się, wysiadł z niego bardzo zmęczony mężczyzna, rozejrzał się dookoła, jakby sprawdzał, czy jest

bezpiecznie, i dopiero wtedy dał rozkaz przez otwarte drzwi: – Można, wychodźcie! Jak groch wysypała się stamtąd szóstka czy siódemka dzieciaków. Spytał, czy może gdzieś się przespać, bo już nie daje rady, a jest sam. Przespał się w ogrzewanym namiocie, dzieci poszły za nim sznureczkiem, jak gąsiątka. Milczące i bardzo posłuszne. Za bardzo, jak na dzieci, to jeszcze jeden detal, który przerażał na granicy.

Dopiero rano było widać, jak mocno samochód jest zniszczony. Kierowca krótko wspomniał o tym, że postanowili wyjechać trzema rodzinami trzema samochodami z okupowanego obwodu chersońskiego. W pierwszym jechały rzeczy: wózki, kołdry itp. Żony z niemowlętami i młodszymi dziećmi – w drugim. A on ze starszymi dziećmi ze wszystkich trzech rodzin – w trzecim. Pierwszy samochód najechał na minę, drugi został zniszczony tym wybuchem i się zapalił, a on trzecim musiał uciekać, bo Rosjanie, słysząc wybuch, zaczęli strzelać. Nie płakał, nie rozpaczał, nie prosił o nic. Zachowywał się jak robot i w kółko powtarzał: „Poradzimy sobie, poradzimy. Mieliśmy szczęście, dużo szczęścia”. I pojechali dalej. Przetłumaczyłam jego krótką opowieść obecnym w tamtej chwili wolontariuszom. Po raz kolejny zobaczyłam ten widok, kiedy twarze wszystkich dookoła przyjmują ten sam wyraz – niedowierzenie połączone z przerażaniem, ale i z nadzieją, że może nie tak przetłumaczyłam. Niestety, powtórzyłam to jeszcze raz. Płakał i potężny policjant, i zawsze uśmiechnięta żartująca francuska pielęgniarka. Kiedyś też odzyskam zdolność płakania. Na razie jeszcze nie umiem.

W kwietniu, tuż po uwolnieniu całego obwodu kijowskiego, z Niemiec przyjechało na granicę starsze małżeństwo z Irpienia. Mieli tam dwanaście kotów, ale kiedy obok wybuchła rakietą i w budynku pękły wszystkie szyby, koty z przerażenia uciekły i ukryły się w lesie. Nie udało się znaleźć żadnego, a trzeba było się ewakuować. Nie mogli sobie wybaczyć, że sami się uratowali, a koty zostały pod okupacją. Teraz po nie jechali. Wolontariusze – ratownicy zwierząt – znaleźli pięć kotów, całych, żywych. Pokazywali mi ich zdjęcia, cieszyli się, opowiadali o każdym – jak to kociarze. Spotkaliśmy się dwa tygodnie później. Wracali z dwunastką! Odnalazyły się wszystkie – przyszły na głos gospodarzy. Trójka była ranna i potrzebowała leczenia, we Lwowie wszystkie trzy zostały zoperowane, doszły do siebie i teraz cała dwunastka jechała do Niemiec.

Tam na granicy było ciężko, ale mimo to chciałam pracować jak najwięcej, ile się da. Szesnastogodzinne dyżury bardziej mi odpowiadały niż

dwunastogodzinne. Bo można było działać tu i teraz. I nie starczało czasu na myślenie, co się dzieje tam, tuż za granicą. Tylko raz widziałam rakietę, leciała w stronę Lwowa.

I jeszcze ludzie. Wszyscy wspaniali, z różnych krajów i różnych zawodów. Tam wtedy każdy dawał z siebie wszystko. I był najlepszą wersją samego siebie. Tam na granicy na nowo nabrałam zaufania do policjantów i nawet ich polubiłam. Okazali się niesamowitymi ludźmi, poświęcającymi się całkowicie, ciepłymi i wyrozumiałymi. Nie oszczędzali się, nie ograniczali się do własnych obowiązków. Zresztą jak wszyscy inni. Często zachowywali się po prostu bohatersko.

Wojna zniszczyła bardzo dużo. Nawet dla mnie, dawnej emigrantki – zabrała mi znajomych, bliższych i dalszych, w Ukrainie, tych, co zginęli, umarli, zaginęli. Pozbawiła mnie też dawnych znajomych i niektórych członków rodziny z Rosji, których uważałam za bliskie osoby. Wojna zablokowała jeden z moich języków dzieciństwa – rosyjski – pierwszy, w którym zaczęłam mówić. Kończyłam rosyjską szkołę, po rosyjsku myślałam, czułam, śpiewałam córce kołysanki, kochałam i żegnałam się na zawsze. A teraz ciężko mi nawet słuchać rosyjskiego. Wojna zniszczyła część mojej tożsamości i plany badawcze. W domu miałam bogaty zbiór książek po rosyjsku. Tylko dziecięcych było 700 egzemplarzy – każdy rzetelnie dobrany od rozmiaru czcionki i ilustracji, do treści i wydawnictwa. Książki przywiezione, przysłane, kupione, подарowane, zdobyte na licytacjach i wygrane w konkursach przeze mnie i moje córki. Już nie mam tych rosyjskich książek, pozbyłam się ich, nie mogłam na nie patrzeć. Po kilku tygodniach od 24 lutego pozabawiono mnie nadziei, że Rosjanie, którzy byli wychowywani na tych samych książkach co ja i moje córki, opamiętają się, że co najmniej odmówią udziału w zabijaniu i niszczeniu – i wojna szybko się skończy. Wojna nadal trwa.

Ale paradoksalnie – po tych stratach nie do odzyskania – nabyłam nieznaną mi dotąd wielkiej wiary w ludzi, w zryw społeczny dla ratowania innych, w poświęcenie, w pokłady dobra i mocy w każdym i w każdej z nas, o które nawet nikt nie podejrzewał samych siebie. I nie jest to efekt jakiejś euforii czy idealizacji posttraumatycznej – jej nie da się utrzymać w sobie przez dziewięć miesięcy pełnoskalowej wojny. Jest to zbudowane na doświadczeniu silne przekonanie, którego już nikt nigdy mi nie odbierze. Nawet i zwłaszcza wojna.

I na koniec opowieści o granicy mam zagadkę. Jakie zdania najczęściej słyszałam tam od ukraińskich kobiet? Odpowiedź w przypisie¹.

W maju po powrocie z granicy zaangażowałam się w tłumaczenia wywiadów kobiet, które przeżyły rosyjską niewolę. Byłam pewna, że jestem przygotowana psychicznie. Nadal nie płakałam, ale czułam się dobrze, różne rzeczy już słyszałam i miałam jeszcze przedpandemiczne doświadczenie pracy z uchodźczyniami w ośrodkach zamkniętych, które często trafiały tam po przeżyciu tortur w Czeczenii. Wówczas w tłumaczeniu stosowałam metodę ucho-usta, tj. mózg służył tylko do rozkodowania, bez włączania uczuć. Tak mi się wydawało. Tego, że pojawił się wtedy odruch ściskania zębów i zagryzania języka, nie odbierałam na poważnie, nawet kiedy język krwawił i zęby bolały. Zresztą to minęło w czasie pandemii, gdy wprowadzono zakaz wstępu do ośrodków uchodźczych.

Pierwszy wywiad przebiegł pomyślnie. Ryzyka rozplakania się nie było – jak wspomniałam, straciłam tę umiejętność 24 lutego 2022 roku. Ale nawet gdyby – nic by się nie stało. Podczas mojej opowieści o pracy na granicy na Kongresie Kobiet w ramach panelu dotyczącego seksualnej przemocy wobec kobiet i dziewczynek, której dopuszczali się Rosjanie, widziałam, jak płakała tłumaczka kabinowa w swojej kabinie i nikomu to nie przeszkadzało. A podczas wywiadu tylko parę razy zupełnie nieprofesjonalnie się zająknęłam i zakryłam twarz rękami. I nic więcej. Od razu po opanowaniu emocji wszystko sobie ułożyłam w głowie: kobieta przeżyła, teraz jest bezpieczna, pod opieką lekarzy i we wspierającym ją otoczeniu – wszystko OK, a mogło być o wiele gorzej. Miała szczęście. Byłam spokojna, z poczuciem dobrze wykonanej pracy.

Tak myślałam. Zaczęło się około 2 w nocy. W kółko w głowie kręciły się słowa tych rosyjskich żołnierzy po rosyjsku, słowa tej kobiety po ukraińsku i po rosyjsku, te wulgaryzmy pod jej adresem, groźby, co jej zrobią, opisy tego, co zrobili innym w jej obecności, ze szczegółami. Wypierałam jedno zdanie czy obrazek, przychodziły inne. Papierosy nie pomagały. Do rana było jeszcze bardzo długo. Musiałam napisać do polskiej terapeutki ze Stanów, tam był ranek. Oddzwoniła do mnie natychmiast, przez godzinę przekazywałam jej to wszystko, co słyszałam podczas wywiadu – po polsku. W tłumaczeniu

¹ У чому вам допомогти? (pol. „W czym mogłabym pomóc?”).

to było nadal koszmarne, ale już do zniesienia. Powtórzone kilka razy po polsku przestało być natrętne.

Po następnych wywiadach było lepiej. Tylko czasami ogarniał taki stan, że nienaturalny wydawał się widok zasłony w zaszklonych oknach, a nie nieba przezierającego przez puste okienne ramy. Że ściany stoją i mosty są całe, że z samolotów nic nie spada na ziemię. Ale szybko sobie z tym radziłam – mam parę sposobów w zanadrzu. Nie są idealne, jakieś przeszkadzające odruchy zostają, ponadto wojna jeszcze trwa i nie wiadomo, w jakim miejscu i jakiej chwili dopadnie z całą mocą.

Z taką mocą uderzyła właśnie pod koniec października, po ośmiu wojennych miesiącach. Trafiłam na SOR w stanie przedudarowym. Teraz mogę się z tego śmiać, ale kiedy leżałam pod kroplówką na OIOM-ie, do personelu za przeszkleniem wbiegł ratownik z izby przyjęć – szukał kogokolwiek znającego język ukraiński lub rosyjski. Karetka z wypadku przywiozła Ukrainkę z urazem głowy i nikt nie potrafił się z nią porozumieć. Patrząc na zdziwione twarze za szkłem, zrozumiałam, że coś jest nie tak. Okazało się, że nieświadomie wstałam i trzymając się statywu kroplówki, pędziłam do nich z podniesioną drugą ręką, krzycząc: „Jestem tłumaczką! Jestem tłumaczką!”. Nie wzięli mnie. Zrobiło mi się głupio, ale to był odruch poza świadomością, który na razie nie ma szansy zaniknąć.

Nie mniej, a czasami nawet bardziej wyczerpujące jest tłumaczenie dla osób o zupełnie odwrotnej wizji świata. Po tłumaczeniu w szpitalu dla pana z Charkowa, byłego radzieckiego wojskowego, czułam się tak, jakby przejechał po mnie czołgiem. Ale nic nie dałam po sobie poznać, robiłam swoje, jak maszyna do przekładu, odmówiłam tylko tłumaczenia jego poglądów politycznych i dyskusji na ten temat. Jedyne sprawy medyczne. To jest moim obowiązkiem, przecież jestem tłumaczką.

Oksana Lytvynenko

Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu
oxana.lit@gmail.com

